

(Obszerne fragmenty)

ale
nalityki
kraju
lanio
go i
maso-
tywy-
zyste-
ane z
rodki
omaga
akte-
ntem
opinii
wania
zeby
Pol-
szoła
nia, że
ię w
szaku.
za-
radu,
zysze
akcyj
polim
nym, k
waniu

dozupić do zakończenia cz-
ralizowania tak ważnego
mentu życia kraju, jakim
prasa, radio i telewizja. A
Na zakończenie wystąpił
tow. Stanisław Kania, pre-
o kampanii wyborczej w
ti i IX Nadzwyczajnym
dzie stwierdził: Był to wy-
nie dobry, demokraty-
zjazd, zadowolony o pro-
partii. Nikt nie może po-
dzieć dziś, że partia nie
programu. Zjazd ukształ-
robotniczo-chłopski skład
mietu Centralnego, w
wszystkie władze na szcze-
w pełni demokratyczne
kich, jakie nie funkcjonu-
innych organizacjach. To
brze, to będzie służyć na-
o budowaniu tak potrz-
sily naszej partii. Siła
stanowi ważny warunek
prowadzenia Polski z z-
żeń o charakterze kontr-
lucyjnym i zagrożen
nym z kryzysem ekono-
mich, zagrożen dla niepo-
kiego bytu naszego narodu

10

Młyn-widmo

Historie takie, jak opisana, doprowadziły do upadku gospodarki i środowiska, podważyły zaufanie obywateli do władzy. Był to okres, gdy niszczone młyny wodne i motorowe, wiatrakł, małe cegielnie, drobne rzemiosło. Jedynym słowem to, co daje chleb, dach nad głową i zatrudnienie. Obiekty skonfiskowane właścicielom były skazane na zagładę.

Moim rozmówcą jest człowiek, któremu minęła osiemdziesiątka. Czesław Szczepański mieszka w gminie Jasienów, a z rzeczą dotyczącą młyna w Krasnym. Niezależnie od starszej sprawy, rozmowa o młynie jest dla niego nie tylko sprawą, ale i sposobem jej rozstrzygnięcia.

Na początku była obora z postawionych betonowych fundamentów w 1934, przebudowana w latach 1946-47 na młyn motorowy. Z czasem obora pozostała jeszcze na króć i odcinając w kierunku roku budowy. Czas przebudowy obory był okresem dzwignia ruinowanej gospodarki i — niestety — okresu złudnych marzeń o korzystaniu z owoców tej barokowej. Młynarz wynajmował w Mikolajkach silnik na mocy 50 KM i przewoził go do młyna. „Deutz” poruszał nie tylko kamienie i wałce, ale i prądnicę oświetlającą młyn, mieszkanie młynarza i sasiada. Mieli własne światła aż do r. 1962, gdy wraz z budową szosy elektryfikowano Krasne Folwarczne. Gdy budowano szosę, Czesław Szczepański nie był już właścicielem młyna.

W kwietniu 1956 r. Szczepańskiemu odebrano młyn i dokonano czynności związanych z wprowadzeniem zarządcy państwowego, którym został Rejonowy Przedsiębiorstwo Młynów Gospodarczych w Białymstoku. Stopień zużycia młyna określono na 10 proc. W drodze łaski dawnemu właścicielowi pozwolono pracować w odebranym młynie. Jednocześnie rozpoczęła się remont trwający o około dwa lata. Gdy ponownie ruszyły prace, Szczepańskiego zwolniono z pracy. Była to jego ostatnia — zemsta za utratę młyna — zemsta za utratę rozkładania materiału do remontu. Dawny właściciel bezskutecznie szukał sprawiedliwości. W marcu 1962 r. Komitet Drobnej Wytwarzalności „stwierdził” przejęcie na własność państwa przedsiębiorstwa: Młyn Motorowy, właściciel, Czesław Szczepański, Krasne Folwarczne, pow. Mońki, powierzchnia 750 m kwadr., znajdującego się od marca 1958 r. pod przymusowym zarządem państwowym. Szczepańskiego zatrudniono jednocześnie jako motorowego.

Następnym właścicielem był gromadzki radny narodowy, a po nim — od roku 1975 Gmina Spółdzielnia w Krasnym. Dawny właściciel krótko pracował pod zielonym szyldem, przekazując ostatecznie funkcję młynarza komuś innemu. Krótko również egzystował młyn, który od około czterech lat jest nieczynny (czytaj: w agonii).

Sprawę młyna dwukrotnie poruszała bezskutecznie „Gazeta Współczesna”. Czasu wystarczało aż nadto na zdławianie przez Gminę Spółdzielnię urządzeń młynarskich i złomowanie sprawnych (i) urządzeń, na szybkie niszczenie budynku przez deszcze i śniegi. Dziś z młyna zostało widmo — kompromitujący Gminę Spółdzielnię w Krasnym dowód niegospodarności i marnotrawstwa. Nie opłaca się inwestować państwowego grosza w zaniedbany obiekt. Czesław Szczepański i jego syn Jan marzą o jednym: pozbyć się kukułczego jaja ze swego obejścia. Zamierzają osiągnąć to przez wykupienie ojcowizny. Wszak chodzi o parcelę 750 metrów kwadratowych i zdemontowany, zaciągający budynek. Dziś, w okresie rozrachunku z marnotrawstwem, liczą na możliwość pierwokupu. Uważają, że władze wykazały dobrą wolę i uczynią krok naprzód w kierunku ludzkiego załatwienia sprawy przynależącej jedynie wstyd Gminnej Spółdzielni w Krasnym.

Przyjął te funkcje z założeniem, że powstrzyma odpływ członków partii. Podobne intencje mieli wszyscy, którzy jego kandydaturę wysuwali i za nią głosowali. Po prostu tow. Łukasik ma doświadczenie w pracy społecznej. Działal w ZMS, był w Komitecie Zakładowym Zakładowej „Solidarności”. Kandydował nawet na „przewodniczącą” Komisji Zakładowej nowego związku, zrezygnował jednak z tej funkcji na korzyść partijną. Oceniając swoją kilkumiesięczną działalność w KZ partii nie może powiedzieć, że spełnił oczekiwania swoje i innych. Proces odchodzenia z partii trwa i trwać będzie w zakładzie — co jeszcze raz podkreśla — do póki istnieć będą trudności ekonomiczne. Niemniej organizacja nie pozostaje w tej sprawie całkowicie bierna. Z niedzielnymi odbywają się rozmowy. Trwają gozdniami i czasami na czterech jednego członka uda się przekonać. Fakt jest, że z niewielką liczbą ma robotnika, którego nie należy trzymać na siłę, ale rozmowy są pożyteczne i z tego względu, że w ich trakcie dochodzi do szerszej wymiany poglądów. Kierownictwo organizacji poznaje nastroje członków i ich stosunek do różnych przejawów życia. Od roku, z wyjątkiem przekwa-

Jan Łukasik jest kierownikiem oddziału składalni i funkcję I sekretarza Komitetu Zakładowego partii pełni społecznie. Etatowymi pracownikami w KZ są dwie osoby: pracownica zajmująca się sprawami ewidencji i kierownik Zakładowego Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej. Tak jest od czasu ostatnich wyborów i tak chyba pozostanie, jeśli KZ nie postanowi inaczej. — To, że pracujemy społecznie jest argumentem na naszą korzyść — uważa tow. Łukasik. Jak odnowa, to odnowa.

I sekretarz dyżuruje w KZ codziennie od godz. 12 do 13. Codziennie też na zmianę pełni dyżur po zostali członkowie Komitetu. W czasie, gdy oni przebywają tu, w KZ, tam, na produkcji, musi ich ktoś zastępować.

— Bez zgody mistrza i nastawiaacza maszyn ja nie mogłbym tu przebywać — twierdzi I sekretarz. Podczas mojej nieobecności, oni muszą pracować za siebie i za mnie. Jak z tego wynika, bardzo ważną sprawą jest stworzenie dobrego kolektywu.

Jeszcze rok temu zakładowa organizacja partynia przy Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Narew” liczyła około 600 członków, dzisiaj ma 300. Po sierpniu pracownicy zakładu niebardzo masowo zwracali legitymacje partynie. Najwięcej odeszło robotników: szeregowych członków partii w wieku po trzydziestce. Wśród nich było sporo dobrych pracowników i wartościowych ludzi. Do ich przykładu w żadnym wypadku nie pasuje określenie: partia oczyszcza się, adekwatniejsze byłoby: partia ubywa trzon robotniczy.

— Kto nam zostanie? Zostanie partia urzędnicza? — stawiając te pytania, sekretarz na razie nie jest w stanie zapobiec uszczuplaniu organizacji. Oczywiście, można by dyskutować, jaka powinna być partia: masowa czy nie? Jakakolwiek by nie była, niedobrze jest, gdy robotnicy tracą do niej zaufanie.

Robotnicy najbardziej odczuli skutki kryzysu ekonomicznego w kraju i moralnego w partii. Przy rezygnowaniu z przynależności partyniej, tu, w zakładzie, padają przede wszystkim argumenty typu ekonomicznego: w jaki sposób partia kieruje, jeśli polki sklepów są coraz bardziej puste? Za wszystkim trzeba godzinami stać w kolejkach. Ludzie odrywają się od pracy, nie śpią w nocy po to, żeby zająć miejsce w ogonku. Jak wytłumaczyć fakt — pytają — że w województwie produkujemy sporo mleka, nie można kupić sera?

Ideologia żołądka nie napelnisz — zresztą na niektóre sprawy nie tylko sekretarz nie znajduje odpowiedzi. Jasne, że gospodarce nie służą strajki, ale oprócz nich muszą być też inne powody pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego. Uważa, że dopóki nie poprawi się sytuacja w organizacji zakładowej. Podejmując się nowej dla siebie funkcji społecznej, nie myślał, że rozgoryczenie ludzi do partii jest tak duże.

Przyjął te funkcje z założeniem, że powstrzyma odpływ członków partii. Podobne intencje mieli wszyscy, którzy jego kandydaturę wysuwali i za nią głosowali. Po prostu tow. Łukasik ma doświadczenie w pracy społecznej. Działal w ZMS, był w Komitecie Zakładowym Zakładowej „Solidarności”. Kandydował nawet na „przewodniczącą” Komisji Zakładowej nowego związku, zrezygnował jednak z tej funkcji na korzyść partijną. Oceniając swoją kilkumiesięczną działalność w KZ partii nie może powiedzieć, że spełnił oczekiwania swoje i innych. Proces odchodzenia z partii trwa i trwać będzie w zakładzie — co jeszcze raz podkreśla — do póki istnieć będą trudności ekonomiczne. Niemniej organizacja nie pozostaje w tej sprawie całkowicie bierna. Z niedzielnymi odbywają się rozmowy. Trwają gozdniami i czasami na czterech jednego członka uda się przekonać. Fakt jest, że z niewielką liczbą ma robotnika, którego nie należy trzymać na siłę, ale rozmowy są pożyteczne i z tego względu, że w ich trakcie dochodzi do szerszej wymiany poglądów. Kierownictwo organizacji poznaje nastroje członków i ich stosunek do różnych przejawów życia. Od roku, z wyjątkiem przekwa-

ciąganie się od lat. KZ podjął ją na nowo, bowiem patrząc na to towarzysze nie mogą się pogodzić z faktem niegospodarności — bo tak to w końcu trzeba nazwać. Chodzi o to, że obok siebie pojawiają dwa elektrociopełni. W „Narwi” — zakładowa i tuż za plotem — miejska. Obie czynne są przez cały rok, ponieważ oprócz ogrzewania domu i osiedla miejskiego, druga — dla zakładu i czterech zakładowych bloków. Towarzysze uważają, że można się wzajemnie uzupełniać w pracy. Tym bardziej, że jest stosowne połączenie, z którego w przeszłości korzystała elektrociopełnia zakładowa, dostarczając ciepło do osiedla mieszkaniowego wtedy, gdy miejskiej elektrociopełni jeszcze nie było.

Wprowadzenie zamiaru w życie dałoby przede wszystkim sporą oszczędność węgla. Oszczędność ta w dzisiejszych czasach jest nie do odrzucenia. Nie do odrzucenia jest także sprawa przyłączenia. Również Mogielnicki wytypił, że bez uszczuplenia dla zakładu, można by sprzedać rolnikom sześć starych przyczep transportowych. Zgłosił te propozycje w lutym, Komitet Zakładowy przyjął ją i od tej pory toczą się starania, by przyczepy przekazać rolnikom. Nie udało się na siewy i żniwa, kto wie, czy uda się na wykopki. Gdy się o tym mówi na zebraniach, ludziom trudno ufać. Wierzą, że musi to być tak, jak cięgną. Zaczęło się od tego, że łomżyński rzeczoznawca nie mógł ich wcześniej wywieść. Po tym dopiero przyczepę te zakłady będzie mógł przekazać jednostce rolniczej. Właściciel zakładu — w tym przypadku — (o jak najszyciej) przez Stowarzyszenie (Rzecznictwo) PZMot. w Białymstoku, po czym dopiero przyczepę te zakłady będzie mógł przekazać jednostce rolniczej. Właściciel zakładu — w tym przypadku — (o jak najszyciej) przez Stowarzyszenie (Rzecznictwo) PZMot. w Białymstoku, po czym dopiero przyczepę te zakłady będzie mógł przekazać jednostce rolniczej.

Następne problemy, które zakładowa organizacja partynia wzięła do załatwienia na pierwszy ogień — to także uregulowanie jednakowej dla wszystkich dyscypliny pracy. Do tej pory na wychodzenie w czasie pracy pracowników biurowych patrzone przez palce, produkcyjnych zaś — pilnowano surowiej. KZ ustalił termin zobowiązujący dyrekcję do ujednolicenia sytuacji. Dyrekcja otrzymała też czas na przedstawienie planów: z jakimi sprawami zamierza wyjść, nie czekając na reformę gospodarczą. Na najbliższym posiedzeniu KZ planuje ustosunkować się do propozycji kierownictwa zakładu. Wiele spraw — uważają towarzysze — można załatwić przed reformą.

Ostatni problem z grupy podjętych do załatwienia przez KZ już teraz — to

umożliwienie pracownikom zakupu tzw. tkaniny biegawczej. Żałoga okazała się zainteresowanie, prawie każdy z trzech tysięcy zatrudnionych ma powiązania ze wsią, a dla rolników tkanina taka przyda się na worki. KZ zobowiązał dział techniczny, produkcyjny do wyecny — jak tow. Łukasik przewiduje — w pierwszej dekadzie września można będzie przystąpić do sprzedaży.

Po uregulowaniu tych spraw przyjdą następne. Pracy nie zabraknie. Informacje na temat, czym aktualnie zajmuje się Komitet Zakładowy partii, towarzysze zamierzają wywieść z tablicach w halach produkcyjnych. Chociaż podobne wiadomości przekazywane są na zebraniach OOP, nie zaskakują, jeśli każdy zainteresowany będzie mógł sobie jeszcze dodatkowo przeczytać.

W wielu zakładach rzuca się w oczy kontrast tablicy informacyjne „Solidarności” przepięknie oświetlone, a miejsce dla organizacji partynich — prawie puste. Oczywiście, że wynika to m.in. stąd, że „Solidarności” — większość informacji przekazuje droga telefoniczna, a nie bez znaczenia jest także fakt, że nie wszystkie organizacje partynie potrafiły odnieść się w nowej sytuacji, kiedy bez nakazów i instrukcji instancji zwierzchnich muszą same podejmować pracę. Niektóre do tej pory nie przejawiają żylnej aktywności.

W „Narwi” na tablicach zakładowej organizacji partyniej wiszą terminy obrad Komitetu Zakładowego. Odbijają się one co dwa tygodnie i wiadomo, że każdy członek partii może przyjść i posłuchać. Jeśli temat posiedzenia dotyczy „Solidarności”, mogą przyjść również członkowie związku.

Ponad 80 proc. załogi należy do „Solidarności”, jest w niej wiele osób par-

tych. W składzie Komitetu Zakładowego na przykład na 19 towarzyszy — ośmiu należy do nowego związku, w egzekutywach OOP na 33 towarzyszy w „Solidarności” jest 13, zaś z 10 pierwszych sekretarzy OOP — trzech. Wśród szeregowych członków PZPR proporcje te są jeszcze bardziej korzystne dla związku.

Na sekcjach Komitetu Zakładowego partii i Komisji Zakładowej „Solidarności” współpraca układa się pozytywnie. Wspólnie przy pomocy również związku branżowego rozstrzygane są problemy pracownicze. Ostatnio udało się doprowadzić do adaptacji pomieszczeń na zakładowe przedszkole. Dotychczas zakład nie miał takiej placówki, a w związku z tym, że miejskie przedszkola ograniczyły liczbę miejsc, część dzieci pozbawiona została opieki. Ambicją zakładu było zapewnienie im jej. Od 1 września zakładowe przedszkole ma być czynne. Przy jego powstaniu pracowali rodzice, roboty fachowe wykonywała zakładowa бригада remontowa i zakładowy hydraulik.

Mówiąc o współpracy partii z „Solidarnością”, której Jan Łukasik sam jest członkiem, rozmówca dostrzega kwestię, która pozostaje jeszcze do podjęcia. — Jako organizacja partynia uważamy, że w niektórych sprawach „Solidarności” ma rację, ale drogą do ich załatwienia nie powinny być strajki. Od strajków partynia nie przybija. Jeśli by więc kiedykolwiek w przyszłości doszło jeszcze do rozstrzygnięcia przez załogę: strajkować czy nie, to organizacja partynia musi podać alternatywę: może nie strajk, a inna forma protestu, może nie dwie godziny postoją, a 15 minut. A może tajne głosowanie: kto za strajkiem, kto przeciw? Przy jałowym obserwuje się bowiem wahania, kto pierwszy rękę podniesie, to za nim inni.

Wielu zaplanowanych problemów nie można zrealizować, bowiem trzeba zażądać się tym, co przynosi bieżące życie. Szkolenie partynie trzeba na razie odłożyć — bo pilniejsza jest sprawa samorządu i reformy gospodarczej. Kandydatów do pracy społecznej coraz mniej, coraz więcej wymagających kibiców. Widac to chociażby na przykładzie wyborów do samorządu zakładowego. Coraz trudniej jest tym, którzy się pracy społecznej podjęli.

IRENA BIERNACKA

Przed 42 laty...

„Lwy Westerplatte”

„Świtło. Nad kanałem i laskiem unosiła się mgła. Razem z plutonowym Baranem stałem na wale, gdy o godz. 4.17 padł strzał z broni ręcznej: na mój rozkaz plutonowy wrzół z obsługi cekaemu zajęł stanowiska. Zameldowałem o tym dowódcy, ale ponieważ pojedyncze strzały padały dość często, otrzymałem od oficera dyżurnego rozkaz ściągnięcia placówki do koszar. W chwili gdy cała załoga przygotowywała sprzęt i broń, a plutonowy Baran wchodził po schodach na wał, padła salwa armatnia z pancernika „Schleswig-Holstein” aż ziemia zadrżała...”

Tak opisuje chorąży Jan Grzymcał pierwsze chwile obrony waskiego przemyśka zemi — łączącego Westerplatte z lądem stałym owej pamiętnej nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku. Przez to jedyną lądową polską nie z Gdańskiem, wysadzaną w powietrze bronią i częścią muru, wciągnęły pierwsze oddziały hitlerowców. Stawia im czoła 30-osobowa załoga placówki alarmowej „Prom”.

„Już pojedynczy żołnierze wchodzą na linię pierwszej mojej zapory ogniowej — relacjonuje plutonowy Władysław Baran, dowódca cekaemów „Promu”. Widzę ich jak na dłoni... W pewnym momencie, nie pamiętam już który z nas zauważył z tyłu schronu nr 1 kaprala Szamlewskiego, manipulującego coś koło swego karabinu maszynowego. Nagle... puścił kilka krótkich serii na nacierających. Odległość między nim a Niemcami pierwszej linii nie przekraczała wówczas 40-50 metrów. Skutek tego ognia był wyraźny, widząc to zaczął puszczać serię za serią w kierunku ogłupiałych napastników. Rozpoczęli gwałtowny odwrot...”

Natarcie niemieckie załamuje się w ogniu polskich karabinów maszynowych. Wróg ponawia gwałtowny atak artyleryjski, rzucając do walki dalsze oddziały. Załoga „Promu” zaciekle odparła ataki, wspomaganą z pobliskich koszar ogniem moździerzy plutonowego Józefa Bieniasza. Znowu udało się powstrzymać nawałnicę. Ale to dopiero początek...

SIEDEM KRWAWYCH DNI

Oto urywki wspomnień uczestników walk, zaczerpnięte z książki Zb. Flisowskiego „Westerplatte” (Wyd. MON, 1968):

Kapral Bronisław Grudziński, dowódca wartowni nr 2: „Spoglądam w kierunku zakretnu kanału. Wieża pancernika, która stale była widoczna z okna strzelniczego wartowni, znikła. Melduję o tym majorowi Sucharskiemu. Nagle przez gąszenie drzew przeszedł błysk i prawie równocześnie nastąpiła eksplozja, a zza zakretnu zaczął bardzo powoli wysuwać się pancernik „Schleswig-Holstein”. Wzrost jego działa, skierowane na Westerplatte mniej więcej pod kątem 45 stopni, zionęły ogniem.”

Kpt. Franciszek Dąbrowski, zastępca dowódcy: „Pancernik otwiera silny ogień ze swych dział 280 mm na placówkę „Prom” z odległości 400-600 m, przenosi go następnie na koszary. Poranna mgła miesza się teraz z dymem. Chwilami gęstnieje, przesłaniając zupełnie widok, chwilami rzadnie, rozprasza następując osłabienie walk. Wzledna cisza nie trwa długo. Poprzedzone 15-minutowym przygotowaniem artyleryjskim rusza trzecia natarcie. Załamuje się jednak znowu na linii wartowni. Mniej więcej o godz. 17 skoncentrowany ogień pancernika oraz baterii artylerii ciężkiej w kierunku Wiskouicia i Brzeźna przygotowuje ostatnie w tym dniu natarcie. I ono też się załamuje pod ogniem broni maszynowej naszych wartowni.”

Walki trwały bez przerwy przez siedem dni. O ich dramatycznym finale tak pisze kpt. Dąbrowski:

„O godz. 10.15, z uwagi na ogólną sytuację na frontach w kraju, ostateczne wyczerpanie załogi i brak wszelkich możliwości niesienia pomocy rannym — następuje kapitulacja. Major Sucharski i st. ogniomistrz Piotrowski udają się wzdłuż brzozy nad kanałem portowym w stronę Niemców, aby omówić warunki kapitulacji. Przed koszarami ustawia się w dwuszerzgu załoga. Żołnierze są przemęczeni, zarośnięci i brudni, ale ocyż jarzą się im jeszcze uniesienie bojomym. Wielu niszczy broń...”

Porucznik Leon Pakaj, ranny dowódca „Promu” wspomina: „Blask słońca w oczy i zapach świeżego powietrza przesyconego wonią siarki, rozpalonego żelaza i dymem tłące się drzewa przywraca mi przytomność. Jestem na placu przed koszarami. To moment kapitulacji załogi, która zbiera się do odmarszu. Na naszych kłak rannych. Reszta rannych, z braku noszy, podtrzymywana przez kolegów... Wzrokiem żegnają go Polaki — Orla Białego, który dziwnym zbiegiem okoliczności pozostał niekietkiet, mimo że cała ściana załamana bezwarunkowo ulegała jak sito”.

ŚWIADECTWO MĘSTWA

Tak zakończyła się bohaterska epopeja 182-osobowej załogi, której męstwo i bezprzekładne bohaterstwo przyniosło im zasłużone imię „Węstraszczycy lwów Westerplatte”. Jak wykazują dokumenty, stawali oni czoła 3500 żołnierzom Wehrmachtu, wspieranych przez 65 dział, jeden pancernik, dwa torpedowce i 20 samolotów. Oprócz odciętej od reszty sił polskich garstki żołnierzy odegrał ważną rolę w pierwszych dniach wojny, wiążąc znaczne siły niemieckie i blokując przeciwników wejście do portu gdańskiego.

Trudno dziś uwierzyć w to, co już Niemców wprowadziło w zdumienie: jak mogła tak nikła gromada żołnierzy stawić czoła kilkanaście razy silniejszemu przeciwnikowi. Jak to było możliwe, że tak nikła garstka ludzi trzymała w szachu przez siedem dni znaczne siły nieprzyjacielskie, zadając im jeszcze straty!

Niemiecki dowódca oddziału, który miał atakować Westerplatte, zapytany ile będzie potrzebował czasu na jego akcję, odpowiedział, że nie więcej jak pół godziny. Nasze polskie dowódcy liczyli na to, że załoga utrzyma się przez 12 godzin. Wytrwali siedem dni.

Podziw Niemców posunął się do tego, że skłonili ich do oddawania honorów wojskowych „zwycięzcom”, a dowódcę bohaterskiej załogi, majorowi Sucharskiemu, zezwolono na noszenie szabli w niewoli...

Dziś, po 42 latach od tych pamiętnych „wydarzeń”, nadal żywa jest pamięć o ludziach, którzy przyjęli na siebie pierwsze uderzenie wroga we wrześniu 1939 roku. Na ich cześć składa się wieńiec i wianki kwiatów u stóp wzniesionego w 1966 roku monumentalnego 25-metrowego pomnika Obrońców Wybrzeża. Ustawiony na kilkunastometrowym kopcu obelisk góruje nad wejściem do gdańskiego portu, przypominając światu dramat i heroizm, na trwałe zapisanych w naszej historii „śladu dni Westerplatte”.

JULIAN MIKOŁAJCZAK

Ciekawostki z przeszłości

Ciekawym dokumentem sprzed ponad czterdziestu duu lat jest preliminarz budżetowy Rzeczypospolitej Polskiej na okres od 1 kwietnia 1938 r. do 31 marca 1939 r., który posiadał w swoim prywatnym archiwum. Jest to księga dużego formatu obejmująca 1052 strony wydania nakładem ówczesnego Ministerstwa Skarbu i tucznica czołkami Drukarni Państwowej w Warszawie, ul. Miodowa 22 za numerem 94275. Jej ciężar sięga ponad 3 kilogramy. W okresie międzywojennym rok budżetowy nie pokrywał się z rokiem kalendarzowym. Stąd też budżet państwowy obejmował 12 miesięcy, ale od 1 kwietnia danego roku do 31 marca następnego roku.

Budżet państwowy na rok 1938/39 ogólnie w wydatkach wynosił 2.447.170.120 zł. Natomiast w dochodach była nadwyżka nad wydatkami w kwocie 85 mln złotych. Dochody i wydatki były szczegółowo rozpracowane do paragrafów, włącznie z podaniem dokładnych objaśnień z tych obja-

nień widać, że na przykład roczne uposażenie prezydenta wynosiło 195 tys. zł (czyli 16.250 zł miesięcznie). Wówczas przeciętna cena jednej krowy wynosiła 100 zł. Ponadto prezydent miał w budżecie fundusz do własnego rozporządzenia w kwocie 60 tys. zł, w tym wydatki reprezentacyjne związane ze swoimi czynnościami — 183 tys. zł.

Ogólne wydatki na roczne utrzymanie Sejmu RP wynosiły 3.244.500 zł, w tym diety dla 208 posłów 2,4 mln zł i wydatki reprezentacyjne 25 tys. zł. Natomiast wydatki roczne na utrzymanie senatu wynosiły 1.476.740 zł, w tym diety dla 111 senatorów 1.177.610 zł i wydatki reprezentacyjne 25 tys. zł.

Z objaśnień do dochodów podano m.in. przewidziane roczne zużycie zapalek w kraju w ilości 17 mln 900 mln sztuk, czyli 75 tys. sztuk po 5 tys. pudełek (a w pudełku po 48 sztuk zapalek). Opłata monopolowa od zapalniczek wynosiła 12 tys. zł.

(mar)

2 września — sobota

Przedstawienie napór kolumn niemieckich na dzień jednostki polskie stoczyły 51 wojennych walk z najeźdźcą Niemcy wycofali z przegranych wojen z tzw. korytarzami. Dawało to znać o sobie (dwie doby bez snu), szwankowało i wkradł się nieład. Podobne obja-

3 września — niedziela

Część historyków uważa, że w dniu tym zakończyła się bitwa graniczna, a następna faza kampanii należy traktować jako walkę

4 września — poniedziałek

To był dzień dotkliwych przegranych, choć jeszcze nie przebrzmiały echa wywołów na cześć naszych zachodnich sojuszników.

Muzeum Lermontowa w Moskwie

Stary dom z facjatką przy Małej Mołczanowce, zbudowany po pożarze Moskwy w 1812 roku, przetrwał do naszych dni. Pieczętowanie odrestaurowany stał się niedawno obiektem muzealnym. W budynku tym mieszkał w czasie studiów na Uniwersytecie Moskiewskim Michał Lermontow ze swą babką Jelizawietą Arseniewą. Tu powstały trzy wersje poematu „Demon”, cykl liryk miłosnych i wiele innych wierszy.

Dom ten jest dziś Muzeum Lermontowa w Moskwie. Otwarcie poprzedziły długotrwałe prace przygotowawcze. Wnętrze odrestaurowano na podstawie zachowanych oryginalnych XIX-wiecznych akwarel i rysunków. Jeszcze przed dekadą zorganizowania muzeum przez dziesiątki lat w Państwowym Muzeum Literatury gromadzone były zbiory — portrety, książki, pisma, rękopisy, obrazy, dokumenty związane z życiem i twórczością Lermontowa. Obecnie pamiętki te włączone zostały do muzealnej ekspozycji. Otwiera ją pokój babki Arseniewej. Wiele przedmiotów przypomina tu postać jej wnuka. Na biurku leży almanach wydany w 1829 r. przez ucznia gimnazjum, do którego uczęszczał Michał. W almanachu tym opublikował on pod literkami „NN” swe „Myśli i uwagi”. W pokoju następnym zwraca uwagę numer pisma „Ateneum” z maja 1830 r. zawierający pierwszy wydrukowany wiersz Lermontowa „Wiosna”. Na ścianach salonu wiszą portrety matki poety i jego samego w wieku dziecięcym.

Gabinet poety mieścił się na piętrze, na które prowadziły kładki drewniane schody. Główne miejsce zajmuje tu biblioteka z książkami Karamzina, Żukowskiego, Puszkina, poetów-

dekabrystów, a także Byrona, Hugo, Schillera. Znaczące miejsce w zbiorze ma charakterystyczny dla Lermontowa i historyczny także pisma z tamtych lat.

Różnymi drogami trafiały do muzeum eksponaty. Np. z RFN przywieziono autoportret poety i jedną z jego kaukaskich akwarel. Mieszkańka Moskwy ofiarowała starą litografię przedstawiającą moskiewskie „Krasnyje Worota” i nie istniejący już dom, w którym urodził się M. Lermontow.

Muzeum rozpoczęło wprawdzie działalność, jednak poszukiwania nowych obiektów trwają. Jak wiadomo, babka Arseniewa po tragicznej śmierci wnuka przed 140 laty w lipcu 1841 roku porzuciła bliskim i ocalała ich więcej. Na pewno są gdzieś jeszcze albumy z wierszami i rysunkami Lermontowa, a także rękopiśmienne kopie utworów poety nielegalnie upowszechnianych w Rosji. (PAP)

RECENZJA

Nie wiem jak się to dzieje, ale z dużego grona wykonawców muzyki jazzowej i rozrywkowej mogłoby wyłonić kilka osób, które dosyć regularnie odwiedzają z koncertami Białystok, podczas gdy wielu innych trudno się doczekać. Z pewnością istnieje tu jakaś prywatna sympatia między nimi a organizatorami życia estradowego, czy też publicznością, ale skoro ta ostatnia jest zadowolona, to niczego złego w tym fakcie nie widzę. Chociaż z drugiej strony czekam na koncerty Namysłowskiego, big-bandu katowickiej Akademii Muzycznej, Skaldów czy Krystyny Prońko. Do tych częstych gości należy Krzysztof Cugowski, niedługojszy wokalista „Budki Suflera”, który odwiedza nasz region co roku.

Wokalista wszechstronny

Przed kilkoma dniami Cugowski wystąpił znowu, tym razem z rockową grupą „Cross” — efektem odnowienia składu zespołu „Art Flesh”, ogólnie nazywanego „Jesienią z blusem”. Stosunek krytyki do tego wokalisty przypomina mi dawne perturbacje Czesława Niemena — wykonawcy wychwalanego, a zarazem potępianego. Te skrajności w ocenach, które Niemen ma już raczej poza sobą, stały się obecnie udziałem Cugowskiego. A więc jedni krytycy doceniają jego doskonały niezwykły głos o obrzygniętych wręcz skali, doceniają jazzowy feeling i wyciucie wykonywanej muzyki, inni zaś zarzucają denerwującą manierę wykonawczą, brak w technice, brak objawów rozwoju osobowości muzycznej i nonszalancki sposób zachowania się na scenie. A więc sytuacja podobna, tyle że dotyczy to innego człowieka.

Krzysztof Cugowski nagral z „Budką Suflera” dwie płyty długogrające i na nich zakończyła się współpraca „Budka” eksperymentowała na skale wokalistami, by na stałe związać się z Romulem Czystawem, co w zasadzie okazało się najszczęśliwszym pomysłem. Jest on bowiem zupełnie przeciwnym do Cugowskiego; dyspo-

nuje niewielkim głosem, nie ma feelingu, takiego poczucia rytmu, ale za to w studiu nie próbuje się przybliżyć jego barwy głosu do barwy przedmiotu. Jak można się przekonać na nagraniu płytowych, wychodzi z tego karykatura, chociaż grupa akompaniująca nie należy do najgorszych.

Po rozstaniu się z „Budką” Cugowski nie miał szczęścia w rozbiciu kariery solistycznej. Współpraca z Piotrem Figiem, a więc człowiekiem z zupełnie innego bieguna muzycznego, nie zaowocowała tak, jakby sobie tego życzyli miłośnicy talentu wokalisty, zaś śpiewane w programach telewizyjnych piosenki z gatunku harskich traciły na rodzie. Raz jeszcze powtórzyła się sytuacja doskonale znana naszym racjonalistom, amatorom wręcz przemysłowi rozrywkowemu: utalentowany wokalista, współtwórca takich przebojów jak „Cień wielkiej góry”, czy „Szalony koń” nie mógł znaleźć ani kompozytora zdolnego zrozumieć jego empyi muzycznej, ani grupy akompaniującej na odpowiednim, a więc profesjonalnym poziomie.

Współpraca z zespołem „Art Flesh” (dawnie „Spisek”) zaczęła rokować pewne nadzieje. Jeden z pierwszych koncertów nowej formacji odbył

się właśnie w ubiegłym roku w Białymstoku i już wówczas stanowił okrasę interesującej przecież „Jesieni z blusem”. Nie tak dawno zmieniłono dwóch gitarzystów, nazwę na „Cross” i znowu jedne z pierwszych koncertów przyszło oglądać białostockiej publiczności. Jest to w tej chwili bardzo sprawną grupą rockową, chociaż odniosłem wrażenie, iż czuje się nieco przytłoczona indywidualnością Cugowskiego. On jest niepodzielnie gwiazdą, a przecież poszczególnych muzyków (zwłaszcza znakomitego perkusistę) stać na prezentację własnych umiejętności i doświadczeń. W każdym razie nie może to być

dwóch pierwszych płytach i trzeba powiedzieć, że nadal wywołują one dreszcz emocji wśród słuchaczy, bo — jak na tamte lata — była to rzeczywiście doskonała i ambitna twórczość. Większą część koncertu natomiast wypełniały kopie zachodnich kompozycji stanowiących repertuar wokalistów bluesowych i rockowych, z przewagą jednak tych drugich. A szkoda, bo Cugowski — obok Stanisława Sojki — jest drugim polskim wokalistą idealnie czującym ten gatunek. Jeżeli w tym kierunku ma iść rozwój osobowości wokalisty to przynajmniej będzie rozczarowany. A przecież Cugowski jest wykonaw-

cą dosyć wszechstronnym, że przypomnę tylko dwie jego piosenki (muzyka: Katarzyna Gartner) z programu „Złoty warkocz”, które miały wszelkie dane po temu, by stać się wielkimi przebojami, a w których pokazał on naprawdę na co go stać.



fol. S. Ostapczuk

Wakacyjne radości i przyjaźnie

Sierpniowe, słoneczne wakacje. Nie umilkł jednak głos dziecięcy przy podstawówce imienia Mikołaja Kopernika w Mońkach. Na korytarzach, w sali gimnazjalnej i w korytarzach szkolnych, zamarł stół ustawiono rzędy ławek.

Obok szkoły krzyki, nawoływania „NASTOLATKI”, grają w „dwa ognie”, a chłopcy z grupy nazywanej „FILKARZE”, po stokroć zabijają się nawzajem. W podziemiach szkoły, obok namiotu rozbitego na trawniku, chłopcy bawią się w „partyzantkę” albo w „Indian”. Wystarczy im do szczęścia pistolet wystrugany z patyka i para krótkich spodenek. Kiedy zapada mrok, podkradają się pod namiot „UFOLUDKI” — chłopcy z innej grupy i ukradkiem chcą młodszym kolegom odebrać szmaczany domek.

O życiu na kolonii opowiadał chłopcy i dziewczęta, uczniowie ze szkół podstawowych z białostockiego i suwalskiego.

MALGOSIA ZIMNOCH (z Białej Podlaskiej) — Jestem już po raz trzeci na kolonii TPD w Mońkach. Bardzo mi się tutaj podoba. Najwzruszające są wieczorne spotkania w sali gimnazjalnej. Każda grupa daje swój program rozrywkowy. Często tańczymy i śpiewamy.

ANIA SADOWSKA (z Białogostoku) — To jest kolonia zdrowotna. Dlatego codziennie mamy gimnastykę korekcyjną przez 40 minut, półgębkiem czytanie oraz zajęcia ogólnorozwojowe — gry i zabawy.

Dotychczas siedziałam w domu, teraz mogę wypocząć; uczyć się pływać na pływalni, chodzić z koleżankami i panią na wycieczki. Zaprzyjaźniłam się z nimi i smutno mi będzie już za kilka dni je żegnać. Będziemy do siebie pisać...

Jestem wraz z Anią w grupie „PŁOMIENIE” — dopowiada Jola PROTA-SIUK. Jest nas trzynaście. Tyle mamy radości i miłych zajęć. Opowiem panu jeden taki: — Do apteki przyszedł krasnoludek. Prosi o tabletkę od bólu głowy. Aptekarz podaje i pyta: — Zapakować panu? Krasnoludek na to: — Nie, dziękuję! Tabletkę potoczę...

Kiedy pytam dziewczęta, czy ich nie karmią przypadkiem jak krasnoludków, stanowczo przeczą. Trudno im było wymienić, co dzisiaj

WENANTY ZBIGNIEW

KRUK

Konkurs na kierownika Galerii

Zbiór ponad 400 prac, przede wszystkim z dziedziny malarstwa i rzeźby to dopiero zalążek twórczej siły w Białymstoku. Galeria Polskiej Sztuki w Białymstoku, która mieści się w pawilonach przy ul. Manifestu Linowego. Galeria — jak poinformował nas dyrektor Muzeum Ogródowego, Eugeniusz Jakubaszek — organizowana będzie w dwóch etapach: najpierw w Muzeum Ogródowym, a następnie w pawilonach przy ul. Manifestu Linowego. Galeria — jak poinformował nas dyrektor Muzeum Ogródowego, Eugeniusz Jakubaszek — organizowana będzie w dwóch etapach: najpierw w Muzeum Ogródowym, a następnie w pawilonach przy ul. Manifestu Linowego.

Właściwe funkcjonowanie Galerii zależy przede wszystkim od jej przyszłego szefa — człowieka, którego inicjatywa i pomysły będą decydowały o tym, jak i w jakich warunkach będzie funkcjonowała. Aby przyszyty kierownik Galerii najwłaściwiej spełniał swoje obowiązki, Muzeum Ogródowe w Białymstoku zdecydowało się ogłosić konkurs na stanowisko. Przy okazji warto nadmienić, iż nowy dyrektor Muzeum Ogródowego w Białymstoku pełni swą funkcję po wygraniu podobnego konkursu.

ANDRZEJ KOZIARA

Kradzież? Dewastacja? Czyim łupem stać się miały figurki z zabytkowej fontanny?

Mogę się złożyć, że tylko minimalny procent spośród tysięcy osób podających każdego dnia Rynkiem Kościuszkim zwróciło uwagę na pewien niepokojący szczegół związany z zabytkową fontanną usytuowaną w samym centrum miasta. A i ci zapewne, zaganieni, zaprzężeni trudnymi sprawami dnia powszedniego nie przywiązali do tego szczegółu specjalnej wagi. Mam prawo tak sądzić, gdyż od wzbudzenia niepokojów fakt ma miejsce prawdopodobnie od początku wakacji.

Gdy po miesięcznym urlopie przechodziłam skwerem obok Ratusza moją uwagę przykuł dziwnie zmieniony wygląd fontanny. Jej szczyt, jakkolwiek zwieńczony — jak pamiętamy — stanowił zespół figur, był mocno przekrzywiony. Wyglądało to mniej więcej tak, jakby ktoś miał zamiar „ukreślić” zabytkowy w celach tylko sobie wiadomych.

Pierwszą moją reakcją był telefon do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, od którego dowiedziałam się, że o tym fakcie zameldowali mu jeszcze w lipcu br. pracownicy Muzeum Ogródowego i że istnieje przypuszczenie, iż było to usiłowanie kradzieży fragmentu zabytku, która to kradzież nie doszła jednak do skutku, w wyniku przyczyn, które nie mam bliższe szczegóły tej niedoskiej kradzieży zadzwoniłam do MO, gdzie — jak mnie poinformowano — żaden tego typu incydent nie został odnotowany.

Tyle suche fakty, by nie przeżyć jeszcze jednego, że pracownicy Muzeum Ogródowego z własnej inicjatywy wyprostowali już nieco ów przekrzywiony órł podziwiał figurki. Podobno przed tą czynnością fontanna wyglądała znacznie gorzej.

Obawiam się, że aktualnie nawet sam Sherlock Holmes nie wywnioskowałby z tej bezrozmyślnej dewastacji. Problem jednak nie zawiesz się tylko do przestępstwa, ma znacznie szerszy wydźwięk i dotyczy także pewnej obłędności na to co nasze, wspólne historyczne i tradycje oraz skandalizująca oświeceniowa Plaża ten tekst we wtorek, 25 sierpnia br. Przed chwilą nasz fotoreporter

przyniósł zdjęcia. Tak właśnie wyglądała zabytkowa fontanna, która usiłowano pozabawić zdobniczego elementu.

O tym, że byłoby to nie tylko cenny kęs dla potencjalnych złodziei, świadczy jej przeszłość. Według informacji uzyskanych w Biurze Badań Dokumentacji Zabytków fontanna była budowana razem z białostockim wodociągami, w końcu XIX wieku. Najciekawszy element fontanny, czyli zespół trzech postaci zwróconych do siebie tyłem, jedna z liry i trąbki, druga z kotwicą i siecią, trzecia zaś z wiechem laurem i rogiem obfitości — stanowił bardzo ciekawy przykład odlewnictwa cynowego.

A swoją drogą ta słynna fontanna, niedługo niemal symbol Białogostu, nie miała w ostatnim 20-leciu szczęścia. Wielu białostockan pamięta zapewne, jak pięknie prezentowała się niegdyś na swym tradycyjnym, a zarazem honorowym miejscu u wylotu ul. Sienkiewicza. Później, w czasie budowy ronda z nieszczę-

śliwie zaplanowaną sygnalizacją świetlną, która miała świadczyć o nowoczesności miasta, o ile dobrze pamiętam gdzieś na początku lat sześćdziesiątych, przeniesiono ją (czytaj: odsunęto ją niepotrzebne starość) niefortunnie bliżej Ratusza. Co gorsze, umieszczono w jakimś niskim i nieefektywnym miejscu, gdzie za zatraćca cały swój urok. Nie pomogło jej nawet specjalne poświęcenie. Po latach, gdy na skwerze rozrosły się drzewa i krzewy fontanna przestała być w ogóle widoczna — i prawdopodobnie dlatego właśnie, ukryta za rozłożystym drzewem — stała się łatwym obiektem działań dewastatorów.

A mimo wszystko trudno mi się pogodzić z faktem, że stało się to w najbliższym ekspozycyjnym punkcie miasta!

LUDMILA CHALECKA -POŁOCKA

Na zdjęciu: Tak właśnie wyglądała fontanna, która usiłowano pozabawić zdobniczego elementu.

Fot. Krzysztof Swiderski

W dalszym ciągu przebiegom numer jeden białostockiego wystawiennictwa są meble wstawione do salonu BWA jako eksponaty sztuki całkowicie czystej, nieskażonej choćby podejrzeniem o przyjemne użytkowanie. W baśniowy klimat mebli dla dzieci znakomicie wkomponowano malarstwo Wiesławy Marii Tylek z Białogostu, która najchętniej i najczęściej maluje o dzieciach, dla dzieci, czasem — jak dziecko. Są więc kolorowe „głownogi” żywcem z wyobraźni trzylatka, pluszowe miśki i cała generacja lalek, a wszystko w baśniowym ogrodzie, wśród baśniowych mebli.

Oglądając malarstwo Wiesławy Marii Tylek nie trudno o refleksję, że fascynacja autorki światem dziecięcej wyobraźni jest tyleż wielka, co powierzchowna. Autorka nie udaje się bowiem ani razu skonstatować nic ponad to, że znajduje ten światek jako uroczysty, pełen wzruszeń i drgnień, a przez stare konie, czasem zaglądające do galerii — zapomniany. Jest to prawda, ale zażyty oczywisty i jakby nieco już w sztuce wyeksploatowany, co w przypadku białostockiej malarzki ma być ilustracją efektu całej wystawy. Jest to i ilustracja ładna, tu i gdzieś zdolna widza wzruszyć, a nawet uruchomić jego wyobraźnię. Jak przystało na czarodzieja dla dorosłych Czaplę, znajduje się ludzkością i jej mitami największymi. Ludzkość w obrazach Czaplę reprezentuje na ogół pojedynczą, celowo schematycznie potraktowaną, ale nie pozbawioną ekspresji figurę człowieka, a towarzyszy jej aura samotności i zapowiedź nieuchronnego cierpienia. Symbol krzy-



przypadki i powód niezwykłej kariery małej Alicji.

Czarami natomiast zajmując się, wystawiający obok, adiunkt warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych — Marian Czaplę. Czaplę malarza są dość czyste i myślenie, że dla bywałców galerii łatwo przyswajalne. Jak przystało na czarodzieja dla dorosłych Czaplę, znajduje się ludzkością i jej mitami największymi. Ludzkość w obrazach Czaplę reprezentuje na ogół pojedynczą, celowo schematycznie potraktowaną, ale nie pozbawioną ekspresji figurę człowieka, a towarzyszy jej aura samotności i zapowiedź nieuchronnego cierpienia. Symbol krzy-

groźnego — co wiedzie nas do moralnego upadku.”

Swoim gorzkim refleksjom, w których stara się uzmniejszyć ogrom niemieckiej zbrodni, Martin Walser nadał znamienity tytuł: „Nasz Oświeceniśm”.

W słowach pełnych oburzenia rozprawia się z tymi, którzy proces opowiadają z Oświeceniśm traktując go jako sensację lub swoiste zło, z tymi, którzy potrafią żyć „jakby Oświeceniśm nie był się nigdy wydarzył”.

„Żydzi i Słowianie — prze-

groźnego — co wiedzie nas do moralnego upadku.”

Swoim gorzkim refleksjom, w których stara się uzmniejszyć ogrom niemieckiej zbrodni, Martin Walser nadał znamienity tytuł: „Nasz Oświeceniśm”.

W słowach pełnych oburzenia rozprawia się z tymi, którzy proces opowiadają z Oświeceniśm traktując go jako sensację lub swoiste zło, z tymi, którzy potrafią żyć „jakby Oświeceniśm nie był się nigdy wydarzył”.

„Żydzi i Słowianie — prze-

groźnego — co wiedzie nas do moralnego upadku.”

nie tylko malowanego, ale również zakomponowanego przestrzennie, przewija się przez całą ekspozycję, która zamyka głowa Chrystusa naszym potężnym forte tego malowanego misterium. Nietrudno też zauważyć, że autorowi bliższy jest św. Franciszek z Asyżu, niż równie święty, ale jakże inny Tomasz z Akwinu. Głowa Chrystusa przypomina, już choćby poprzez grubą, prawie rzeźbiarską fakturę — przyrodzonego świętaka i takie jest całe malarstwo Czaplę, bardzo materialne i „krwiste”, chciałoby się powiedzieć dotykające. W niczym to przecież nie koliduje z mistyką pokazu jest to bowiem misterium malowane przez adiunkta Akademii, ale misterium o wyraźnych ludowych korzeniach.

Nie potrzeba ani długiego siedzenia w galerii, ani specjalnej erudycji, żeby stwierdzić, że dwójka malarzy puszczając przypadkowo zetkniętych w białostockiej Galerii BWA, prezentują twórcze postawy z antypodów. Wynika z tego i to, że gdzieś jak gdzieś, ale w okolicy sztuki pluralizm trzyma się słuszkowo mocno. Żeby tak jeszcze niektóre meble z ekspozycji w spręży przerobić się dało...

ANDRZEJ KOZIARA

ANDRZEJ KOZIARA

brachunek z tradycją narodową, szczególnie z dumnością hitlerowskich rządów, w obu państwach niemieckich jest nadal żywy i prowadzony w atmosferze ostrych polemik i kontrowersji. Tak chyba przebiegał proces narodowego zdrowienia, ciągle trwające przekształcanie niemieckiej świadomości narodowej — przepięknie emocjonalnymi napięciami i rozterkami.

W budowie „nowych Niemiec”, w wychowywaniu „nowego Niemca” decydującą rolę ma i będzie miała niemiecka elita intelektualna, której opinia, w sposób mniej lub bardziej uproszczony, przyswajane są przez całe społeczeństwo.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

W budowie „nowych Niemiec”, w wychowywaniu „nowego Niemca” decydującą rolę ma i będzie miała niemiecka elita intelektualna, której opinia, w sposób mniej lub bardziej uproszczony, przyswajane są przez całe społeczeństwo.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

W budowie „nowych Niemiec”, w wychowywaniu „nowego Niemca” decydującą rolę ma i będzie miała niemiecka elita intelektualna, której opinia, w sposób mniej lub bardziej uproszczony, przyswajane są przez całe społeczeństwo.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

W budowie „nowych Niemiec”, w wychowywaniu „nowego Niemca” decydującą rolę ma i będzie miała niemiecka elita intelektualna, której opinia, w sposób mniej lub bardziej uproszczony, przyswajane są przez całe społeczeństwo.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

Jerzy W. Borejsza i Stefan H. Kaszyński opracowali antologię, w której znalazły się teksty 25 wybitnych przedstawicieli niemieckiej myśli, rozumiejących, że heisenbergowska „filozofia oświeceniowa” polegająca na przeczekaniu, jest nieczym innym jak pozostawieniem wolnej drogi dla wiary przesłach, w rodzaju neofaszyzmu.

REFLEKTOR

Zmalała gwałtownie liczba Polaków penetrujących w ostatnich kilkunastu latach tak niegdyś dla nas gościnny kraj Madziarów. W ojczyźnie naszej strapiionej brak wielu rzeczy, a więc także i forintów, bez której to waluty wyjazd turystyczny na Węgry jest niemożliwy i dlatego w Budapeszcie słychać na ulicach, a zwłaszcza w sklepach znowu język węgierski a nie polski, który zdawał się być jeszcze tak niedawno głównym językiem naddunajskiej stolicy. Węgry, którzy postawili twardo na turystykę, nie martwią się jakoś słabą frekwencją polskich globtroterów, choć zgodzić się z zasadami hotelarskiej gościnności nie powiedzą tego głośno przybyszowi z Polski. Ale tak myślą i tak to oceniają między sobą. Nawalnica polskich „turystów” z ich handlowo-kramarskimi talentami pozabawiła nas ostatecznie w oczach Węgrów nimbu „bratanków i do szlabi i do szklanki”.

Tego przysłówia zresztą nikt już na Węgrzech nie powtarza. Dzisiejszy Madziar myśli o oszczędzaniu, o dorabianiu się, a nie o „szlabi i szklance”. Nie te czasy, nie te potrzeby. Dzisiejszy Madziar, który mieszkał dawniej na to w Budapeszcie, ma poważniejsze problemy na głowie. Pierwszy — to mieszkanie. Są one drogie — i to zrozumiale, bo mieszkanie tanie są jeszcze tylko w NRD — ale porządne mieszkanie musi być też odpowiednio urządzone. Sklepy meblarskie mają swą imponującą ofertę — kupisz tam wszystko, co zechcesz i na nasze polskie kalkulacje nawet sporo taniej niż u nas — Węgry powie jednak — że naprawdę stylowe urządzenie wnętrza jest kosztowne i trzeba na to oszczędzać. Trzeba, bo oszczędza sąsiad z prawa, a sąsiad z lewa ma już tak urządzone mieszkanie, że mógł stać się Węgrem, taki los.

Ala mieszkanie to tylko fragment tego losu. Bo potrzebny — także samochód, gdyż nie wypada, aby ezanujący się obywatel Magyarországa (czyli WRL) nie posiadał swego wozu. Dzięki tym ambicjom Węgry wysunęły się dziś na pierwsze miejsce wśród krajów socjalistycznych w statystyce samochodów osobowych na tysiąc mieszkańców. A jeszcze niedawno w tej statystyce wyprzedzali ich NRD i Czechosłowacja. Ale czas w miejscu nie stoi i statystyka też. Dzięki tej zasadzie Węgry, którzy sami nie produkują samochodów osobowych, jeżdżą dziś najczęściej Ładą (122 tys. forintów) albo — to dla biedniejszych — Trabantem (62 tys. forintów). Polski Fiat 125p kosztuje 128 tys. forintów, ale nie cieszy się tu zbyt wielką popularnością. Już bardziej „maluch”, którego jest coraz więcej i który powoli zaczyna konkurować z Trabantem. Tym bardziej, że na Fiata 125p czeka się tu pół roku, na Trabanta zaś — rok lub więcej.

Zaspokoiwszy potrzeby samochodowe Węgry myśli o domu wypoczynkowym. Jeśli jest biedniejszy — buduje go sobie na północy kraju, w Górach Bukowych, albo nad Ciszą. Jeśli natomiast ma większe ambicje, to rzecz jasna, nad Balatonem. To olbrzymie jezioro w ciągu ostatnich lat otoczone zostało istnym mrowiem eleganckich prywatnych inwestycji. W niczym nie przypominają one naszych kłopotliwych z różnych materiałów budowlanych „willi”. Są projektowane przez architektów, a nie planistów, są wykonane przez dobrych fachowców z dobrych cegieł, dachówek, starannie dobranego drewna. Na dom Węgier nie żałuje pieniędzy, bo dom mu

może przypisać o zawrót głowy przyszyba z zewnątrz. Nie tylko zresztą Polaka, bo o to niestety, ale nawet Austriaka, gdyż sklepy budapeszteńskie są dziś np. nie gorzej zaopatrzone od sklepów wiedeńskich, które cieszą się przecież swoją międzynarodową reputacją. Ot, po prostu co kraj, to obyczaj, a Węgry postawiły sobie za obyczaj ambicję uczynienia swojej ojczyzny krajem zewnętrznego dostępu, mając do dyspozycji niezły klimat, dobrych ekonomistów i pracowników rolników. To cały ich kapitał — bo przecież ani te trochę wydobywane rudy ropy naftowej, ani aluminium nie byłyby kartą przetargową węgierskiej reformy gospodarczej, która się nadspodziewanie dobrze powiodła.

Ala Węgry przystępowały do reformy gospodarczej w roku 1969, czyli wtedy, kiedy nasi ekonomści zwolnili reformowania gospodarki przestali mieć cokolwiek do powiedzenia. Węgierski „liberalizm” gospodarczy zakładał szybko rentując się inwestycje i żadnych przedsiębiorstw planowo deficytowych, podczas

leczne zaciskanie pasa na rolnictwo, które po kilku latach potrafiło się tak bardzo opłacić. Nikt nie żałował nakładów na fabryki nawozów sztucznych i środków zabezpieczających roślin, nikt nie zastanawiał się czy do traktorów potrzeba jest wiele części zamiennych czy też trochę mniej, bo jak się traktor rusza, to za stopą go ludzie, od których można wymusić konsekwentnie i cierpliwie. Węgry dawno stwierdziły, że człowiek żyjący na wsi zasługuje na takie same warunki życia, jak w mieście, co się objawiało nie tylko w powszechnym zaprowadzeniu wodociągów na wsi nie mówiąc już o elektryfikacji. Węgry doprowadziły, że warunki pracy na wsi i w mieście upodobniły się do siebie, choć przecież nie znieśli do dziś trójkamienności. Ale praca na wsi stała się mniej uciążliwa, dzięki maszynom i urządzeniom socjalnym i o wiele bardziej higieniczna niż nawet w naszych najlepszych PGR-ach, nie mówiąc już o rolnictwie indywidualnym. Przy czym potrafili też połączyć socjalizm z kapitalizmem, doktrynarną kolektywizację z inicjatywą prywatną, wyzyskującą się na działkach przyzgodowych. Wielkie uspołecznione gospodarstwa rolne dają więc dziś całosć zaopatrzenia w zboże i paszę oraz w mleko, gospodarstwa przyzgodowe zaś dostarczają krajowi 36 proc. trzody chlewnej, 48 proc. bydła, 60 proc. drobiu i aż 85 proc. warzyw i owoców. Na uzupełnienie tych procentowych opowieści trzeba stwierdzić, że dziś male bądź co bądź Węgry eksportują ponad 40 proc. swojej produkcji rolnej czyli mówiąc po prostu żywności. Cóż, co kraj to obyczaj.

Ala Węgry strzegą swego dobrobytu z ołówkiem w ręku. W czasach, gdy u nas zamrożono ceny na żywność i wszyscy się z tego cieszyli, że pensje rosną a ceny stoją, Węgry zamrażały co najwyżej mięso w lodówkach przed eksportem za granicę. Ceny bowiem żywności stopniowo, ale konsekwentnie, rosły, w miarę jak rosła średnia płaca. Były to podwyżki niewielkie o 5—10 proc. ale odbywały się one przynajmniej raz w roku, a nieraz i częściej. Dzięki temu gospodarstwo węgierskie utrzymało swoją niezachwianą pozycję przetrzymując z żelazną dokładnością równowagę rynkową, która jest gwarancją stabilizacji gospodarki. U nas o tych podstawowych prawach jak zapomniało i na tym polega różnica pomiędzy polską i węgierską drogą do socjalizmu.

Polak, który znajdzie się dziś na Węgrzech łatwo popada w amok, widząc obfitość dóbr w sklepach i pozorną zamożność ulicy. Ale człowiek, który korzysta z okazji zagranicznego wояжу, żeby się narzeczyć mój umyślnie, nie jest moim najlepszym obserwatorem. Bo przecież za swój dobrobyt i stabilizację Węgry też płacą swoją cenę i jest to cena, która u nich samych też budzi niepokój.

GUSTAW ROMANOWSKI „Głos Robotniczy”, 14, 15, 16 sierpnia 1981.

Cheć i ja zabrać głos, lecz już z pewnego oddalenia czającego się w głębi zjawisk, poszukiwanie lańców przyczynowo-skutkowych, uogólnianie i wnioskowanie, zjadł po prostu w trudnym położeniu. Nie chcemy wypisywać wytrawionych i hosiannych używanych starych dziennikarskich wytrawionych; mamy jakieś ambicje odnowy. Wiele skomplikowanych materiału zjawisk, wymaga więc wielu ocen i najrozmaitszych oświeśleń. Nawet kontrowersyjnych, byle poważnych. Jest też rzecz oczywista, że będzie ona wdziewczym tworzeniem dla kuglarzy, alchemików i politycznych chiromantów. W modzie są treści zastępcze etykiety polityczno-personalne.

W dodatku nas, komentatorów, których zadaniem jest wnioskowanie z zjawisk, poszukiwanie lańców przyczynowo-skutkowych, uogólnianie i wnioskowanie, zjadł po prostu w trudnym położeniu. Nie chcemy wypisywać wytrawionych i hosiannych używanych starych dziennikarskich wytrawionych; mamy jakieś ambicje odnowy. Wiele skomplikowanych materiału zjawisk, wymaga więc wielu ocen i najrozmaitszych oświeśleń. Nawet kontrowersyjnych, byle poważnych. Jest też rzecz oczywista, że będzie ona wdziewczym tworzeniem dla kuglarzy, alchemików i politycznych chiromantów. W modzie są treści zastępcze etykiety polityczno-personalne.

Byłem na wszystkich zjazdach partii odbywających się po Wielkich Preszlaniach, ale żaden z nich nie dał mi porównać z ostatnim, i to pod jakimkolwiek względem. Już sam ten fakt — że jawną precesyjność — mógł przypisać niedojrzałości głowy. Wtedy najpierw i bardzo szybko zwoływano krajowe konferencje aktywu, na których następowało rozładowanie politycznej burzy, a rolę odgrywała odgrywał przywódca uznany powszechnie za meza opatrzeniowego. Kampania poprzedzająca była jeszcze dość gorąca, wybory znośły większość lokalnych przywódców, do powiatu włącznie królowała demokracja. Natomiast zjazd, odbywający się w już wyjaśnionej sytuacji politycznej, był letni i uładowy. Owszem, była ostra krytyka przeszłości, lecz reszta była manifestacyjnym i „zobowiązującym” poparciem dla przywódcy i jego propozycji programowych i personalnych. Demokracja była na deser.

Tym razem demokracja stała się najważniejszym dniem. Zjazd obfitował w ostre spisy i słowne ripiery, że czasami aż skóra cięła czołowiekowi; były momenty wręcz dramatyczne nie tylko dlatego, że tym razem nie chcieli pociągnąć karoserii, ale chcieli zabrać o to, co jest pod maską. Były też rzeczy politycznie niedobre. Ale nie było, jakby tu rzec, palenia świątyń.

Jednym z najbardziej niepokojących schorzeń tego rodzaju zgromadzeń była dominacja formy nad ich treścią.

Ciężka próba demokracji

Na zjazd przyjechali ludzie zaprawieni w ciężkich bojach przedzjazdowych z „kompleksem manipulacji”. Zbyt wiele przeżyli rozczarowań i upokorzeń. Trzeba było widzieć determinację na ich twarzach. To nie ekstremiści opowiadali zjazd, jak mający niekiedy, prawda jest bowiem taka, że większość ekstremy nie znalazła poparcia w wyborach. Trzeba to wszystko uwzględnić i rozumieć, gdy mówią o IX Nadzwyczajnym Zjeździe, pamiętając o tym, że „Prawda to nie tylko wynik, ale także droga” (K. Marks).

Wyniki zjazdu nie zadowolili na ogół naszych wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników, chociaż w poważniejszej propagandzie nie atakowało się ich wprost i globalnie. (Piszę „na ogół”, ponieważ część prasy burżuazyjnej, zorientowanej na destabilizację polityczną Polski, przyjęła zjazd z wyraźną ulgą). Nie zadowolili również Polaków, którzy bezkrytycznie ulegają tej propagandzie, a jest ich немало. Oczywiście, nie mogli zadowolić tych, którzy spodziewali się, że po zjeździe nastąpi jakiś przełom na rynku. Zastanawiające skąd bierze się ta swoista wiara w cud? Nie ma dymu bez ognia.

Każdy z nas delegatów tak mógłby powiedzieć o takich czy innych detalach, nie tylko trzeciorzędowych, których jemu zabrakło w wynikach zjazdu, które chciałby widzieć inaczej. To zupełnie normalne. Mogę jednak sformułować tezę, że wyniki tego zjazdu powinny zadowolić wszystkich tych, którzy oczekiwali jasnego określenia i usankcjonowania programu dającego demokracji państwa i tzw. gwarancji w statucie partii, opowiedzenia się za szybkim wprowadzeniem radykalnej reformy gospodarczej, wstym funkcjonowaniem. Teraz było dokładnie odwrotnie. Z wszelkimi formami zjazdu obchodzili się brutalnie, jeżeli tylko wymagało tego meritum sprawy. Rwało to ustalone porządki, naruszało ustalone zasady, momentami groziło wprost dezorganizacją. Ogłębiam to z bliska, pracując na prezydium Sekretariatu Zjazdu.

Nie było narzucano, nie rezyserowano. Na strażę pełnej swobody i dyskusyjności obrad a także demokratyzacji procedur wyborczych postawiono rozbudowane, przewidujące każdy szczegół regulaminy. Wewnętrzny „kodeks wolności” wykorzystywany był aż nadto, z przypadkami plemiennymi i cięciwami włącznie. Czasami okazywały się jeszcze zaścianki. Delegaci ustawiali się w koleje przed mikrofonami. Przewodniczący obrad tracił chwilami panowanie nad sytuacją. Jak przystało też na demokrację obywatelską, rozkładało życie w kuluarach. Sza agitaacja, pojawiali się różni harocownicy, rozdawano pisma ulotne itp.

Taka była uroda tego zjazdu. To „winna” sytuacja, a nie demokracja. Nie wszystko też z tego praktyk ma przed sobą przyszłość, jeżeli uda nam się nasze problemy sprowadzić do normalnych rozmiarów. Znamienne zresztą, że i na tym zjeździe stopniowo i samorzutnie znajdowano lekarstwa na przesterzany i impasy. Przede wszystkim kwestie i polemiki rozstrzygano przez głosowanie. Wykształtowało się coś, co nazywałbym kulturą strzeżenia. Zaczęła zwyciężać stara formuła dobrych prawników: co nie da się obronić, nie zasługuje na obronę. I to po obydwu stronach stołu.

Demokracja została więc wystawiona na ciężką próbę i próbę tę wytrzymała. Świadczą o tym przede wszystkim wyniki zjazdu, jego dokumenty.

Kontrolerzy jakości z białostockiej „Unitry” ukradli z zakładu podzespół do „Jowisza” o wartości ponad 300 tys. zł. Kierownictwo zakładu zawiadamia PT klientów, że nie były to wszystkie dobre podzespoły.

Dyrekcja szpitala psychiatrycznego w Choroszczy grozi zamknięciem opieki, jeżeli nie otrzyma niezbędnych ilości środków sanitarnych. Same środki uspokajające nie wystarczą już nikomu.

Dotychczas z redakcyjnego klozetu ginal papier, również profilaktycznie osteplowany pieczęcią „Prasa”, ale ożmowa wnieść z klozetu?

ty przyjęte ogromną większością głosów. To nie był sejmik szlachecki.

Skończyła się mowa o dokumentach, to trzeba powiedzieć, że rozdzielili się one w bólach, a komisje nad nimi pracujące z reguły wydłużały — i to znacznie — przewidywany przez nich czas. Przedstawione przez nie projekty różniły się istotnie od tych, które otrzymali delegaci przed zjazdem. Projekt uchwały w stulecie polskiego ruchu robotniczego całkowicie odrzucono.

Ala na tym nie koniec, bo po przedłożeniu przez komisję projektu zjazdowi zaczęło się jego maglowanie na sesji plenarnej. Tak maglowano projekt statutu: punkt po punkcie, z głosowaniem nad każdą kontrowersją. Natomiast stosunkowo gładko przeszła uchwała programowa. Jak na mój smak, stanowczo za gładko.

Chciałbym polemizować z kursującym tu i ówdzie twierdzeniem, że zjazd koncentrował się i spalał na kwestiach proceduralnych, lekceważąc merytoryczne, ciężkie sprawy wstępnego, przed którym stał kraj. To powierzchowne twierdzenie, albo niepełne zrozumienie misji historycznej tego zgromadzenia. Owszem, wzbudzały na niego uwagę niektóre sprawy wyborcze (jak wybierać I sekretarza KC, czy i na jakiej zasadzie dać bierne prawo wyborcze niedelegatowi). Owszem, hojnie korzystano z prawa zabrania głosu w kwestiach formalnych, osobliwosci zjazdu były ciągle wznowszające się tablice, ale zauważa się, że było to w gruncie rzeczy sposób na przemycanie spraw zgoda nieformalnych. Wszakże najwięcej czasu i

Siedząc w Sali Kongresowej byłem bardzo ciekaw, w których fali odnowy politycznej, zwłaszcza tych młodych, delegatów politycznych nie całkiem „przejętych” wrażeniami. Są uderzająco inteligentni, widać dobre słowo, widać z nich to wyraźne zadanie, które stawiają przed sobą, ale jeszcze nie bardzo wiedzą, co chcą. Mają jak na swój wiek i świadectwa szkoły sporą wiedzę polityczną, ale jest to najczystsza wiedza młodości.

Ciekawe, jaki będzie los tych, którzy nie byli mi sympatyczni, bo wykazywali nadmierną pewnością siebie, a nawet arogancję. Czytał mi po głowie piękny cytat z Alejo Carpentiera „Podróż do źródeł czasu”, ale okazało się, że brzmiał on zupełnie inaczej. „Każdy wierzył, że wypaszonego by w strasliwą moc, wielu zasiadło po prawicy Bogu, by sądzić ludzi, którzy odeszli za to, że nie oddali przyszłości”.

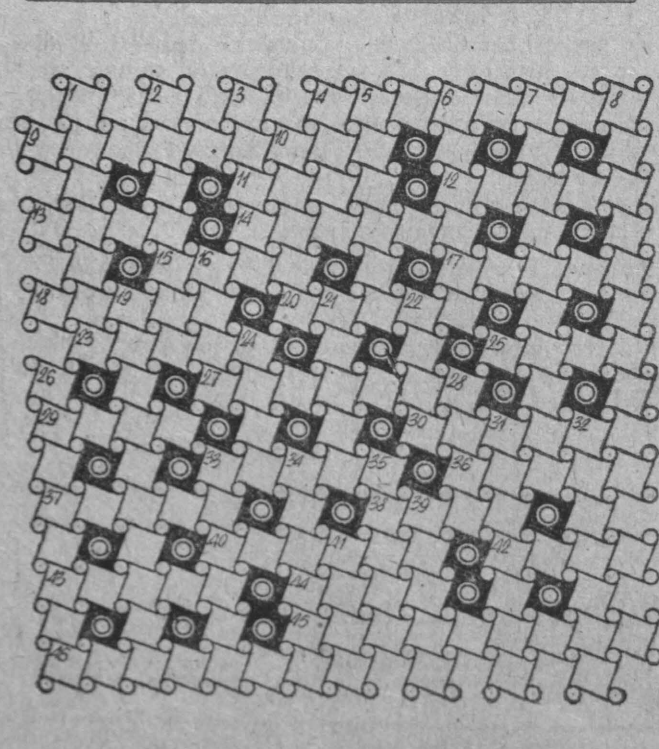
Ilu z tych młodych ludzi odpadnie po drodze, zutysie się, wykuszysz? Zapewne nie mało. Na ostrych wirażach historycznych wielu wypadła i toru. Będą Don Kichoci, Szachy Pansowie i Dulcinee odnowy. Będzie trochę demagogów czujących się dobrze tylko w wodzie napięcia. Krótko mówiąc, niektórzy okażą się politykami sezonu. Ale całosć obrazu jest dla mnie pokrzepiająca. Materiał jest, i to dobry, pod wieloma względami lepszy od tego jaki stanowiło nasze pokolenie. Potrzebna jest tylko odnowa autentyczności życia ideowego w partii.

Jak oceniam wyniki wyborów do organów centralnych partii? Gramatyka wyborcza jest zwykłe dość pogmatwana, zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z ponad 500 nazwiskami. Przeciwny jestem pochopnemu doszukiwaniu się prawidłowości w wynikach wyborczych, gdyż przeczy to mojemu doświadczeniu. Myślę, wszakże, że na tym zjeździe dało o sobie znać mniej lub bardziej wyraźnie kilka zjawisk, które można nazwać tendencjami.

Kreślono więc przede wszystkim nazwiska znane, co jest prawidłowością wszystkich polskich wyborów na zakresach, przeprowadzonych demokratycznie. Kreślono pracowników aparatu państwowego i partyjnego, jak sądzi w obawie, by nie stworzyli oni „pakietu kontrolnego” w KC. Nie oszczędzono członków dotychczasowego kierownictwa partii, choć jednym mniej, a innym więcej. Kreśliły się wzajemnie „orientacje”, lecz nie jest to takie klarowne, bo jak już pisałem, na zjeździe mieliśmy już raczej szczydełkę, a nie skrzydła. Piszę „kreślono”, ponieważ takie było chyba nastawienie: nie tyle kogo wybrać, co raczej kogo nie wybrać. Sprzyjała temu zresztą

ZDZISŁAW BALICKI „Gazeta Robotnicza”, 24 sierpnia 1981.

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 4) drobna reszka, 9) przed Tobą, 11) dryt, 12) modna ja wygarbować, 13) legowisko, które po przedstawieniu spółośnego staje się muzycznym talizmanem, 14) gąsiec, 15) stary ludowy instrument muzyczny, 16) gryb jadalny, 19) lampka s „lampy”, 23) przedzą jedwabna, 25) człowiek doświadczonego, przebiegłego, 27) marka NRD-owskich samochodów osobowych, 29) składa się z blaski i ogniska, 30) chaos, zamieszanie, 33) miasto nad Odrą, przw ujściu Kanału Gliwickiego, 35) boczek wieprzowy peklowany lub wędzony, 37) kolekcja, 38) twórcą rzeźb portretowych i dekoracyjnych na Plantach i na gmachu teatru im. Słowackiego w Krakowie (anagram słowa „nuda”), 40) eks-pracownik, 42) reklama świetlna, 43) spis, lista, 44) autor „Uwag o smaleci mleczynie”, 45) miasto obydowe i dudy part w dziele Wolgi, 46) tworzy dzieła sztuk.

POZIOMO: 1) drwina, zjadliwość, 2) do gołeniz, 3) wilka, 4) powierzchnia ukośna, 5) harcerska jednostka organizacyjna, 6) podstawowe prawo, 7) rodzica, 8) rodzica, makaron lub wyroby cukiernicze, 10) niszka, 16) dawniejsze porównanie panny, 18) figura geometryczna, 21) n. b. (tęcza), 22) stolica Górnej Austrii, 24) statek bohaterów wyprawy po „złote runo”, 26) błona wyścielająca m. in. drogi oddechowe, 28) krowa dla Hindusa, 31) fabryka

plieniedzy, 32) szanckli używano w ratownictwie górskim, 33) bogacz, 34) końska pociecha, 35) rozporządzenie królewskie, 36) ozdoba lamówka taksu, 41) odmiana instalowa w wodowli.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z NRU 167 POZIOMO: tręćność, moneta, święto, Igor, zabka, dewiza, Liban, wifonik, kardial, Atos, do-cent, adapter, zwarec, Sakaki, ucho, arsenai, Ataturk, plask, nara, cacko, rzaz, zasada, awaria, laureatka, PIONOWO: równik, cieżar, niob, światło, Loren, relik, naparsiek, modrzew, tande-ta, kwadra, wiatr, boja, kapus-niak, czarka, nalepka, psota, e-le-taza, czas, karczna, harnas, nio-ska, lajdak, adria, czar.

NAGRODY Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 162 z 14 sierpnia 1981 r. nagrody książkowe wylosowali: GRZEGORZ ROMANOWSKI z Łomży, ALICJA KUBIAK ze Starego Folwarku, EWA GROCHOWSKA z Białogostka, BOGUMILA PA-DZIK z Suwałk i JAROSŁAW BAKALARZ z Głęboka. Nagrody przesyłamy pocztą.

FF-felieton faktu

Doświadczalne Przedsiębiorstwo Opakowań w Białymstoku, jest w stanie przyjąć i zrealizować zamówienie na każdą ilość opakowań na produkty łatwo psujące się. Doświadczenie polega na tym, że Przedsiębiorstwo nie ma zamówień na produkty ani łatwo, ani trudno psujące się.

Kontrolerzy jakości z białostockiej „Unitry” ukradli z zakładu podzespół do „Jowisza” o wartości ponad 300 tys. zł. Kierownictwo zakładu zawiadamia PT klientów, że nie były to wszystkie dobre podzespoły.

Dyrekcja szpitala psychiatrycznego w Choroszczy grozi zamknięciem opieki, jeżeli nie otrzyma niezbędnych ilości środków sanitarnych. Same środki uspokajające nie wystarczą już nikomu.

Dotychczas z redakcyjnego klozetu ginal papier, również profilaktycznie osteplowany pieczęcią „Prasa”, ale ożmowa wnieść z klozetu?

Zaloga Zakładu Stolarstwa Budowlanego w Sokółce z dzielnika TV dowiedziała się o zatrzymaniu produkcji w ich zakładzie. O zatrzymaniu nie wie nie ani dyrekcja na miejscu, ani Zjednoczenie i Ministerstwo w Warszawie. Zaloga z Sokółki nosi się z zamiarem odwołania dziennika TV przynajmniej na czas jakiś.

Z ewku TABLICZKI. Na drzwiach Komitetu Zakładowego PZPR w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawlnianego „Narew” wywieszono napis: KLUCZ W „SOLIDARNOSCI”.

Klub Ekologiczny w Suwałkach wystąpił do władz wojewódzkich z wnioskiem o natychmiastowe zamknięcie chlewni ob. B. i ośrodka sportów wodnych. Walka o czystość powietrza trwa.

Z więzienia w Suwałkach donoszą, że dzienna racja żywności jest tutaj coraz mniejsza. Więźniowie podejrzewają, że albo ktoś walczy o przyznanie im statusu więźniów politycznych, albo karmi nutrie z prywatnej fermy. Tak czy owak więźniowie protestują, choć z przyczyn taktycznych trudno im zdobyć się na tradycyjną głodówkę.

Zaloga Zakładu Stolarstwa Budowlanego w Sokółce z dzielnika TV dowiedziała się o zatrzymaniu produkcji w ich zakładzie. O zatrzymaniu nie wie nie ani dyrekcja na miejscu, ani Zjednoczenie i Ministerstwo w Warszawie. Zaloga z Sokółki nosi się z zamiarem odwołania dziennika TV przynajmniej na czas jakiś.

Z ewku TABLICZKI. Na drzwiach Komitetu Zakładowego PZPR w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawlnianego „Narew” wywieszono napis: KLUCZ W „SOLIDARNOSCI”.